

*Mistrzowskie. Gerritsen gra w tej samej lidze co Thomas Harris,
ale robi to w swoim własnym stylu.*

TESS GERRITSEN

Chirurg



Prolog

Dzisiaj znajdą jej ciało.

Wiem, jak to się stanie. Potrafię sobie wyobrazić całkiem wyraziście ciąg wydarzeń, które doprowadzą do tego odkrycia. O dziewiątej rano nadęte paniusie z biura podróży Kendall & Lord będą siedziały przy biurkach, stukając wypielegnowanymi palcami w klawiatury komputerów, aby zarezerwować rejs po Morzu Śródziemnym dla pani Smith i wczasy narciarskie w Klosters dla pana Jonesa. A dla państwa Brown w tym roku coś nowego, coś egzotycznego: może Chiang Mai albo Madagaskar. Nic za dużo męczącego. Nie, nie. Przygodzie musi, nade wszystko, towarzyszyć komfort. To motto firmy Kendall & Lord: „Przygody z wygodami”. W ich biurze panuje duży ruch i często dzwoni telefon.

Paniusie szybko zauważą, że Diany nie ma w pracy.

Któraś z nich zadzwoni do jej domu w Back Bay, ale nikt nie podniesie słuchawki. Może Diana bierze prysznic i nie słyszy telefonu? Albo wyszła już do biura, tylko się spóźnia? Może być wiele powodów jej nieobecności... Ale z czasem, gdy nadal nie będzie odpowiadała na telefony, zaczną się niepokoić.

Przypuszczam, że to dozorca budynku wpuści koleżankę Diany do mieszkania. Widzę, jak potrząsa nerwowo kluczami, mówiąc: „Jest pani jej przyjaciółką? Na pewno nie będzie miała претен- sji? Będę musiał jej powiedzieć, że pozwoliłem pani wejść”.

Wchodzą do mieszkania i koleżanka woła: „Diano? Jesteś w domu?”. Idą korytarzem obok oprawionych starannie plaka- tów biura podróży. Dozorca podąży tuż za nią, bacząc, by niczego nie ukradła.

Potem zagląda do sypialni, widzi Dianę Sterling i przestaje się przejmować czymś tak banalnym jak kradzież. Chce tylko opuścić mieszkanie, zanim zwymiotuje.

Chciałbym być tam, kiedy zjawi się policja, ale nie jestem głupi. Wiem, że będą obserwować każdy przejeżdżający samo- chód, wszystkich gromadzących się na ulicy gapiów. Zdają sobie sprawę, jak bardzo mnie kusi, żeby tam wrócić. Nawet teraz, gdy siedzę w Starbucks, wpatrując się w świt za oknem, czuję, jak ciągnie mnie do tamtego pokoju. Ale jestem jak Ulisses, który słucha śpiewu syren, przywiązany bezpiecznie do masztu. Nie rozbiję się o skały. Nie popełnię tego błędu.

Piję kawę, patrząc, jak Boston budzi się do życia. Wsypuję do filiżanki trzy łyżeczki cukru. Kawa musi być słodka. Lubię doskonałość. W każdym calu.

Z oddali słysząc głos syreny. Wzywa mnie. Czuję się jak Ulisses, pragnący wyrwać się z więzów, ale trzymają mocno.

Dzisiaj znajdą jej ciało.

Dowiedzą się, że wróciliśmy.

Rozdział pierwszy

ROK PÓŹNIEJ

Detektyw Thomas Moore nie lubił zapachu lateksu. Wciągając gumowe rękawiczki i wzbijając chmurę talku, czuł jak zwykle, że zaraz ogarną go mdłości. Ten zapach wiązał się z najbardziej nieprzyjemną stroną jego pracy i jak pies Pawłowa, śliniący się pod wpływem określonego bodźca, kojarzył go nieuchronnie z wonią krwi i płynów ustrojowych. Węch ostrzegł go, że powinien zebrać siły.

Stanął skoncentrowany przed prosektorium. Wyszedł prosto z upału i czuł już na skórze zimny pot. Było piątkowe popołudnie dwunastego lipca. Powietrze przesyciła wilgoć. W całym Bostonie huczały klimatyzatory, a ludzi ponosiły nerwy. Na moście Tobin stali już zapewne w korku ci, którzy uciekali na północ do chłodu lasów w Maine. Moore'a nie było wśród nich. Został odwołany z urlopu, aby obejrzeć koszmar, którego wcale nie pragnął zobaczyć.

Miał już na sobie fartuch chirurgiczny, który wyciągnął z wózka z bielizną w kostnicy. Teraz założył na włosy papierowy czepek, a na buty papierowe ochraniacze, gdyż widywał czasa-

mi, co lało się ze stołu na podłogę. Krew, fragmenty tkanki... Nie był bynajmniej szczególnie schludny, ale nie miał ochoty przynosić na butach do domu resztek z prosektorium. Przystanął na kilka sekund przy drzwiach, wziął głęboki oddech i wszedł zrezygnowany do środka.

Na stole leżały osłonięte zwłoki. Sądząc z kształtów, była to kobieta. Moore starał się nie przyglądać zbyt długo ofierze, koncentrując wzrok na obecnych w prosektorium osobach. Doktor Ashford Tierney i pracownik kostnicy układali narzędzia na tacy. Po drugiej stronie stołu stała Jane Rizzoli, również z Wydziału Zabójstw w Bostonie. Miała trzydzieści trzy lata i była niewysoką kobietą o kanciastym podbródku. Rysy jej twarzy zdawały się ostrzejsze niż zwykle, bo nie łagodziły ich niesforne czarne loki, ukryte teraz pod papierowym czepkiem, a ciemne oczy patrzyły przenikliwie. Pół roku temu przeniosła się z obyczajówki. Była jedyną kobietą w wydziale i doszło już do konfliktów między nią a jednym z detektywów, do oskarżeń o molestowanie seksualne i babski szowinizm. Moore nie był pewien, czy darzy Rizzoli sympatią ani czy ona go lubi. Jak dotąd łączyły ich ściśle służbowe stosunki i uznał, że chyba wolała, by tak pozostało.

Obok Rizzoli stał jej partner, Barry Frost, zawsze wesoły glina, którego dobrodusznia, pozbawiona zarostu twarz sprawiała, że nie wyglądał na swoje trzydzieści lat. Frost pracował z Rizzoli już od dwóch miesięcy i się nie skarżył. Był jedynym człowiekiem w wydziale, który znosił cierpliwie jej humory.

Gdy Moore podszedł do stołu, Rizzoli powiedziała:

- Zastanawialiśmy się, kiedy się zjawisz.
- Byłem w pobliżu Maine, gdy odebrałem wasz sygnał.
- Czekamy tu od piątej.

— Zaczynam właśnie sekcję — stwierdził doktor Tierney. — Uważam więc, że detektyw Moore zdążył na czas. — Męska solidarność. Zatrzasnął drzwi szafki tak energicznie, że aż zadźwięczała. Rzadko okazywał rozdrażnienie. Pochodził z Georgii i był wytwornym dżentelmenem, który uważał, że kobiety powinny zachowywać się jak damy. Nie lubił pracować z zadziorną Jane Rizzoli.

Pracownik kostnicy przyciągnął do stołu wózek z narzędziami, rzucając Moore'owi przelotne spojrzenie, które mówiło: Czy można ufać tej suce?

— Przykro mi, że nie pojechałeś na ryby — powiedział do Moore'a Tierney. — Chyba będziesz musiał odwołać urlop.

— Jesteś pewien, że to znów nasz chłopak?

W odpowiedzi Tierney odciągnął prześcieradło, odsłaniając zwłoki.

— Nazywa się Elena Ortiz.

Choć Moore spodziewał się tego, co zobaczył, widok ofiary podzielał na niego jak obezwładniający cios. Czarne włosy kobiety, zeszywniałe od krwi, odstawały jak kolce jeżozwierzka od marmurowo bladej twarzy. Usta miała rozchylone, jakby zastygłe w pół słowa. Krew odpłynęła już z ciała i jej rany wyglądały jak purpurowe szramy na tle poszarzałej skóry. Jedną z dwóch widocznych ran stanowiło głębokie cięcie na szyi, spod lewego ucha przez tętnicę i krtań. Było śmiertelne. Druga rana widniała nisko na brzuchu. Nie zadano jej po to, by zabić. Służyła zupełnie innemu celowi.

Moore przełknął z trudem ślinę.

— Rozumiem, dlaczego ściągnęliście mnie z urlopu.

— Ja zajmuję się tą sprawą — oznajmiła Rizzoli.

Usłyszał w jej głosie nutę ostrzeżenia. Bronił swego teryto-

rium. Wiedział, skąd to się bierze. Ciągłe drwiny i sceptyczne uwagi, na jakie narażone były policjantki, budziły w nich agresję. Prawdę mówiąc, nie zamierzał rzucać jej wyzwania. Musieli pracować razem nad tą sprawą i za wcześnie było walczyć o dominację.

Starął się zachować pełen szacunku ton.

— Możesz zapoznać mnie ze szczegółami?

Rizzoli skinęła głową.

— Ofiarę znaleziono o dziewiątej rano w jej mieszkaniu przy Worcester Street w South End. Zwykle około szóstej przychodziła do pracy w kwiaciarni, kilka przecznic od domu. To rodzinna firma, własność jej rodziców. Gdy się nie pojawiała, zaczęli się martwić. Brat poszedł jej szukać i znalazł ją w sypialni. Doktor Tierney szacuje, że śmierć nastąpiła między północą a czwartą rano. Zdaniem rodziny nie miała aktualnie chłopaka i nikt w kamienicy nie pamięta, by odwiedzali ją mężczyźni. Była pracowitą, pobożną dziewczyną. Katoliczką.

Moore popatrzył na przeguby ofiary.

— Została skrępowana.

— Tak. Taśmą na przegubach i kostkach. Znaleziono ją nagą. Miała na sobie tylko biżuterię.

— Jaką?

— Naszyjnik. Pierścionelek. Kolczyki. Szkatułka z biżuterią w sypialni była nietknięta. Nie chodziło o rabunek.

Moore spojrział na siną poziomą smugę na biodrach ofiary.

— Tułów był również unieruchomiony.

— Miała przewiązane taśmą uda i talię. A także usta.

Moore westchnął ciężko.

— Chryste...

Patrząc na Elenę Ortiz, przypomniał sobie nagle inną kobietę. Kolejną ofiarę. Blondynkę z ciętymi ranami na szyi i brzuchu.

— Diana Sterling — rzekł pod nosem.

— Odnalazłem już raport z jej sekcji — stwierdził Tierney. — Na wypadek gdybyś potrzebował go przejrzeć.

Ale było to zbędne. Sprawa Diany Sterling, którą kiedyś prowadził, ciągle nie dawała mu spokoju.

Rok temu trzydziestoletnią Dianę Sterling, zatrudnioną w biurze podróży Kendall & Lord, znaleziono nagą i przywiązaną taśmą do łóżka. Miała rozcięte gardło i brzuch. Zbrodnia pozostała niewyjaśniona.

Doktor Tierney skierował światło na podbrzusze Eleny Ortiz. Krew splukano już wcześniej i krawędzie rany miały bladobłękitny kolor.

— Są jakieś ślady? — spytał Moore.

— Zanim ją umyliśmy, znaleźliśmy kilka włókien. I przyklejony do rany włos.

Moore okazał nagle zainteresowanie.

— Należał do ofiary?

— Był o wiele krótszy. Jasnobrązowy.

Elena Ortiz była brunetką.

— Poprosiliśmy już o próbki włosów wszystkich osób, które miały kontakt z ciałem — wyjaśniła Rizzoli.

Tierney skupił uwagę na ranie.

— Mamy tu do czynienia z poprzecznym cięciem. Chirurdzy nazywają to „cięciem Maylarda”. Brzuch był rozcinany warstwami. Najpierw skóra, potem powięź, mięsień i otrzewna jamy brzusznej.

— Jak u Diany Sterling — oznajmił Moore.

— Owszem. Są jednak pewne różnice.

— Jakie?

— W przypadku Diany Sterling krawędzie rany były trochę poszarpane, jakby sprawca wahał się lub miał niepewną rękę. Tutaj tego nie widać. Zauważ, jak idealne jest nacięcie. Żadnych nierówności. Zrobił to z całkowitą pewnością siebie. — Tierney spojrział Moore'owi w oczy. — Nasz nieznan sprawca czyni postępy. Poprawił technikę.

— Jeśli to nadal ta sama osoba — stwierdziła Rizzoli.

— Są jeszcze inne podobieństwa. Widzicie ten prostokątny kształt końcówki rany? Wskazuje, że cięcia dokonano od prawej do lewej. Jak u Diany Sterling. W obu przypadkach użyto prostego ostrza, bez ząbków.

— Skalpela?

— Możliwe. Równe cięcie sugeruje, że ostrze się nie chwiało. Ofiara była nieprzytomna albo tak mocno związana, że nie mogła się poruszać, nie mogła walczyć. Nie była w stanie sprawić, by ostrze zboczyło z prostej linii.

Barry Frost wyglądał tak, jakby zbierało mu się na wymioty.

— Chryste! Błagam, powiedz, że już nie żyła, kiedy to robił.

— Obawiam się, że to nie jest pośmiertna rana. — Zza chirurgicznej maski widać było tylko zielone oczy Tierneya, które pały gniewem.

— Miała przedśmiertne krwawienie? — spytał Moore.

— W jamie brzusznej. Co oznacza, że jej serce nadal pracowało. Żyła, gdy... to się działo.

Moore spojrział na sine kręgi na przegubach ofiary. Podobne ślady miała wokół kostek, a na jej biodrach widniały podskórne krwiaki. Elena Ortiz próbowała uwolnić się z więzów.

— Jest jeszcze inny dowód na to, że żyła, gdy rozcięto jej

brzuch — oznajmił Tierney. — Włóż rękę do rany, Thomas. Chyba wiesz, czego się spodziewać.

Moore wsunął niechętnie dłoń w rękawicze do rany. Ciało było zimne w dotyku, wyziębione po kilkugodzinnym spoczynaniu w chłodni. Czuł się tak, jakby wkładał rękę do indyka, by wyjąć z niego podroby. Wetknął dłoń aż po przegub, dotykając palcami krawędzi rany. Takie penetrowanie najbardziej prywatnej sfery ciała kobiety stanowiło pogwałcenie jej intymności. Starał się nie patrzeć na twarz Eleny Ortiz. Tylko w ten sposób mógł podejść z dystansem do jej doczesnych szczątków i skoncentrować się z zimną krwią na tym, co uczyniono z jej ciałem.

— Nie ma macicy — stwierdził, patrząc na Tierneya.

Doktor skinął głową.

— Została usunięta.

Moore wyjął rękę z ciała i spoglądał na ranę, przypominającą rozwarte usta. Teraz Rizzoli wsunęła do środka dłoń w rękawicze, próbując spenetrować krótkimi palcami wnętrze rany.

— Niczego więcej nie usunięto? — zapytała.

— Tylko macicę — odparł Tierney. — Pęcherz i jelita pozostały nietknięte.

— Wyczuwam tu, po lewej, jakieś zgrubienie — stwierdziła.

— To szew. Sprawca podwiązał naczynia krwionośne.

Rizzoli spojrzała zdumiona na doktora.

— To nie chirurgiczna?

— Zwyczajny katgut — zaryzykował Moore, oczekując od Tierneya potwierdzenia.

Tierney przytaknął.

— Taką samą nić znaleźliśmy w ciele Diany Sterling.

— Katgut? — odezwał się słabym głosem Frost. Odszedł od

stołu i stał teraz w rogu sali, gotowy rzucić się w kierunku zlewu. — Czy to jakaś... firmowa nazwa?

— Bynajmniej — stwierdził Tierney. — To rodzaj nici chirurgicznych, produkowanych z jelit krów i owiec.

— Dlaczego je tak nazwano? — spytała Rizzoli.

— W średniowieczu używano jelit do wyrobu strun do instrumentów. Muzycy nazywali je „kitgutami”. Z czasem słowo to przekształciło się w określenie „katgut”. W chirurgii używa się takich nici do zszywania głębokich warstw tkanki łącznej. Organizm rozkłada je z czasem i wchłania.

— Skąd sprawca miał te nici? — spytała Rizzoli, patrząc na Moore'a. — Zbadaliście to po zabójstwie Diany Sterling?

— Trudno ustalić źródło ich pochodzenia — stwierdził Moore. — Katgut produkuje kilkanaście różnych firm, głównie w Azji. Stosuje się go nadal w wielu zagranicznych szpitalach.

— Tylko zagranicznych?

— Są już lepsze materiały — wyjaśnił Tierney. — Katgut nie jest tak mocny i trwały jak nici syntetyczne. Wątpię, by korzystało z niego wielu amerykańskich chirurgów.

— A po co właściwie używa go nasz sprawca?

— Żeby mieć dobre pole widzenia. Kontrolować krwawienie dostatecznie długo, by widzieć dokładnie, co robi. To pedant.

Rizzoli wyciągnęła rękę z rany. Na rękawiczce miała zakrzepłą kropelkę krwi, jak czerwony koralik.

— Co on potrafi? Mamy do czynienia z lekarzem czy rzeźnikiem?

— Z pewnością posiada wiedzę anatomiczną — odparł Tierney. — Nie wątpię, że już to wcześniej robił.

Moore odstąpił krok od stołu, starając się nie myśleć, ile musiała wycierpieć Elena Ortiz, ale nie umiał odpędzić od

siebie koszmarnych wizji, gdy leżała przed nim z otwartymi oczami.

Wzdrygnął się i odwrócił, usłyszawszy brzęk narzędzi na metalowej tacy. Pracownik kostnicy podsunął ją w kierunku doktora Tierneya, aby ten mógł rozpocząć sekcję. Teraz pochylał się do przodu i przypatrywał ranie na brzuchu ofiary.

— Co się potem dzieje z tą macicą? — zapytał. — Co z nią robi, kiedy ją wytnie?

— Nie wiemy — odparł Tierney. — Usuniętych organów nigdy nie znaleziono.

Rozdział drugi

Moore stał na chodniku w dzielnicy South End, gdzie zginęła Elena Ortiz. Kiedyś były tam ubogie czynszowe domy, oddzielone linią kolejową od bogatszej, północnej części Bostonu. Rozrastające się miasto jest żarłoczną bestią, zawsze żądną nowych terenów, i tory kolejowe nie stanowią przeszkody dla agresywnych inwestorów. Nowe pokolenie bostończyków odkryło South End i stare domy czynszowe zamieniano stopniowo na budynki apartamentowe.

Elena Ortiz zajmowała niewielki apartament w takim właśnie bloku. Choć widok z jej mieszkania na pierwszym piętrze nie był zbyt atrakcyjny — okna wychodziły na pralnię po drugiej stronie ulicy — lokatorom zapewniono rzadki w Bostonie luksus: przylegający do sąsiedniej alei parking.

Moore szedł właśnie tą aleją, przyglądając się oknom w mieszkaniach i zastanawiając się, kto w tym momencie obserwuje go z góry. Za szybami nie było widać żadnego ruchu. Lokatorzy mieszkań, których okna wychodziły na aleję, zostali już przesłuchani. Nie dostarczyli żadnych użytecznych informacji.

Przystanął pod oknem łazienki Eleny Ortiz i spojrział na prowadzącą do niego drabinkę przeciwpożarową. Była podciągnięta do góry i odsunięta na bok. W nocy, kiedy zginęła Elena Ortiz, był pod nią zaparkowany samochód jednego z lokatorów, na którego dachu znaleziono odciski butów rozmiaru osiem i pół. Sprawca wszedł po nim na drabinkę.

Moore zobaczył, że okno łazienki jest zamknięte. Tamtej nocy, gdy zjawił się zabójca, było otwarte.

Opuścił aleję, zawrócił do głównego wejścia i wszedł do budynku.

Drzwi mieszkania Eleny Ortiz były zaklejone policyjną taśmą. Otworzył je, czując pod ręką proszek używany do zdejmowania odcisków palców. Gdy wchodził do środka, zwisająca taśma prześlizgnęła mu się po ramieniu.

Salon wyglądał tak samo jak dzień wcześniej, gdy zjawił się tu z Rizzoli. Była to nieprzyjemna wizyta. Wyczuwał atmosferę rywalizacji. Rizzoli prowadziła od początku sprawę Eleny Ortiz i obawiała się kwestionowania swego autorytetu, zwłaszcza przez starszego od niej policjanta. Choć stanowili teraz zespół, powiększony już do pięciu detektywów, Moore czuł się na terenie Rizzoli jak intruz i starał się formułować wszelkie uwagi w jak najbardziej dyplomatyczny sposób. Nie zamierzał z nią walczyć, choć sama go prowokowała. Próbował wczoraj skoncentrować uwagę na miejscu zbrodni, ale nieprzychyłość Rizzoli stale go rozpraszała.

Dopiero teraz, będąc sam, mógł obejrzeć dokładnie mieszkanie, w którym zginęła Elena Ortiz. W salonie zobaczył niepasujące do siebie meble, ustawione wokół wiklinowego stolika do kawy. W rogu stał na biurku komputer, a na podłodze leżał beżowy dywan z motywami winorośli i różowych kwiatów.

Jak twierdziła Rizzoli, od dnia zabójstwa niczego tu nie ruszano. Na dworze już zmierzchało, ale Moore nie zapalał światła. Stał w miejscu przez dłuższą chwilę, nie poruszając nawet głową i czekając, by w pokoju zapanowała kompletna cisza. Po raz pierwszy miał okazję być sam w tym mieszkaniu. Nie rozpraszały go głosy i twarze innych ludzi. Widział oczami wyobraźni, jak cząsteczki powietrza, poruszone jego wejściem, powoli nieruchomieją. Chciał, żeby ten pokój do niego przemówił.

Nic jednak nie czuł. Żadnych fluidów zła ani atmosfery grozy.

Sprawca nie wszedł drzwiami. Nie przechadzał się po swoim nowym królestwie śmierci. Skoncentrował całą uwagę na sypialni.

Moore minął powoli niewielką kuchnię i zaczął iść korytarem. Czuł, jak jeżą mu się włosy na karku. Przystanął przy pierwszych drzwiach i zajrzał do łazienki, zapalił światło.

Czwartkowa noc jest ciepła. Tak ciepła, że w całym mieście są pootwierane okna, aby pochwycić każdy podmuch wiatru, każdy powiew chłodnego powietrza. Czaisz się na drabince przeciwpożarowej, pocąc się w ciemnym odzieniu i patrząc w okno łazienki. Panuje cisza. Kobieta śpi w sypialni. Wczesnie rano zaczyna pracę w kwaciarni i o tej porze znajduje się już w fazie najgłębszego snu.

Nie słyszy zgrzytu metalowego ostrza, którym podważasz żaluzję.

Moore spojrzął na tapetę, przyozdobioną drobnymi pączkami czerwonych róż. Typowo kobiecy wzór, którego mężczyzna na pewno by nie wybrał. Wszystko wskazywało na to, że była to łazienka kobiety: szampon o zapachu truskawek, pudełko tamponsów pod umywalką i wypełniona kosmetykami apteczka. Dziewczyna dbała o makijaż.

Wchodzisz przez okno, zostawiając na framudze włókna granatowej koszuli z poliestru, a na białym linoleum podłogi odciski adidasów, rozmiar osiem i pół. Są też ślady piasku, zmieszanego z kryształkami gipsu. Typowa mieszanka, gdy chodzi się po Bostonie.

Być może przystajesz, nasłuchując w ciemnościach. Upajając się atmosferą miejsca, zamieszkanego przez kobietę. A może, nie tracąc czasu, zmierzasz prosto do celu.

Do sypialni.

Powietrze wydawało się teraz cuchnące, jakby gęściejsze, gdy podążał śladami intruza. Nie chodziło tylko o wyimaginowane zło, lecz o zapach.

Podszedł do drzwi sypialni. Włosy na karku sterczały mu już na sztorc. Wiedział, co zobaczy wewnątrz. Sądził, że jest na to przygotowany. Jednak gdy zapalił światło, ogarnęło go przerażenie jak wtedy, gdy ujrzał ten pokój po raz pierwszy.

Ślady krwi miały ponad dwa dni. Mieszkania jeszcze nie wysprzątało. Nawet z pomocą detergentów, odkurzaczy na parę i białej farby nie udałoby się zatuszować tego, co tam zaszło, gdyż powietrze było już na zawsze przesiąknięte grozą.

Wchodzisz do sypialni. Światło ulicznych lamp przenika przez cienkie bawełniane zasłony, oświetlając łóżko i śpiącą w nim kobietę. Z pewnością przyglądasz się jej przez chwilę. Myślisz z rozkoszą o czekającym cię zadaniu. Sprawia ci to przyjemność, prawda? Coraz bardziej się podniecasz. Pobudza ci to krążenie jak narkotyk, napręża każdy nerw, aż czujesz pulsowanie nawet w opuszkach palców.

Elena Ortiz nie miała czasu krzyknąć. W każdym razie nikt tego nie słyszał. Ani rodzina z mieszkania obok, ani para z dołu.

Intruz przyniósł ze sobą wszystko, czego potrzebował. Taśmę

klejącą, szmatę nasączoną chloroformem, zestaw narzędzi chirurgicznych. Był w pełni przygotowany.

Upiorny rytuał musiał trwać dobrze ponad godzinę. Elena Ortiz przynajmniej przez jakiś czas była przytomna. Miała startą skórę na przegubach i kostkach, co oznaczało, że walczyła. Z bólu i przerażenia opróżniła pęcherz i jej mocz wsiąkł w materac, mieszając się z krwią. Operacja wymagała precyzji i sprawca starał się dobrze ją przeprowadzić, aby zdobyć tylko to, czego chciał, nic więcej.

Nie zgwałcił jej. Może nie był do tego zdolny.

Kiedy wykonał swój potworny zabieg, dziewczyna jeszcze żyła. Rana w jamie brzusznej nadal krwawiła, a serce tłoczyło krew. Jak długo? Doktor Tierney uważał, że co najmniej przez pół godziny. Trzydzieści minut, które Elenie Ortiz musiały się wydawać wiecznością.

Co robiłeś w tym czasie? Pakowałeś narzędzia? Wkładałeś do słoika swój łup? A może tylko stałeś tu i przyglądałeś się z satysfakcją?

Ostatnie posunięcie było szybkie i zdecydowane. Oprawca Eleny Ortiz zdobył to, czego chciał, i nadeszła pora, by zakończyć sprawę. Podeszedł do wezgłowia łóżka i chwycił ją lewą ręką za włosy, ciągnąc tak mocno do tyłu, że wyrwał ich cały pęk. Znalaziono je potem rozsypane na poduszce i podłodze. Plamy krwi stanowiły przerażający dowód tego, co wydarzyło się później. Unieruchomiwszy ofierze głowę i odsłoniwszy szyję, sprawca jednym ruchem przeciął jej gardło, od lewej do prawej strony, uszkadzając tętnicę szyjną i tchawicę. Krew trysnęła strumieniem, obryzgując ścianę na lewo od łóżka. Poduszka i pościel były także nią przesiąknięte. Kilka pojedynczych kropli spadło z ostrza na parapet okna.

Elena Ortiz żyła dostatecznie długo, by widzieć, jak krew tryska jej z szyi i rozbryzguje się na ścianie. Wdychała krew przez uszkodzoną tchawicę, słyszała, jak bulgocze jej w płucach, odkasliwała szkarłatną flegmą.

Żyła dostatecznie długo, by wiedzieć, że umiera.

A kiedy było po wszystkim, kiedy znieruchomiła, zostawiłeś nam wizytówkę. Złożyłeś starannie jej nocną koszulę i położyłeś ją na toalecie. Dlaczego? Czy to jakiś obłąkańczy wyraz szacunku dla kobiety, którą zamordowałeś? A może z nas drwisz? Chcesz nam pokazać, że kontrolujesz sytuację?

Moore wrócił do salonu i zagłębił się w fotelu. W mieszkaniu było gorąco i duszno, ale on miał dreszcze. Może z emocji, a może z powodu choroby. Bolały go uda i ramiona, jakby złapał jakiegoś wirusa. Pewnie to letnia grypa, najgorsza odmiana. Myślał o miejscach, w których wolałby być w tym momencie. Pływałby po jeziorze Maine, zarzucając wędkę. Albo stał na brzegu morza i obserwował gęstniejącą mgłę. Byle tylko nie przebywać w miejscu zbrodni.

Wyrwał go z zamyślenia brzęczyk pagera. Wyłączywszy go, zdał sobie sprawę, że serce wali mu jak młotem. Próbował się opanować, zanim wyjął telefon komórkowy i wystukał numer.

— Rizzoli — usłyszał już po pierwszym sygnale. Jej głos zabrzmiał sucho jak wystrzał.

— Szukałaś mnie.

— Nie wspomniałeś, że masz informacje z PPNP — oznajmiła.

— Jakie informacje?

— Na temat Diany Sterling. Przeglądam właśnie jej akta.

PPNP, czyli Program Poszukiwania Niebezpiecznych Prześcpców, był ogólnokrajową bazą danych, dotyczących zabójstw

i napadów. Zabójcy działali często według określonych schematów i dzięki rejestrowi można było ustalić, które zbrodnie popełnił ten sam sprawca. Moore i jego ówczesny partner, Rusty Stivack, rozpoczęli rutynowo śledztwo w sprawie Diany Sterling od tego właśnie źródła.

— W Nowej Anglii nie znaleźliśmy żadnych podobnych przypadków — stwierdził Moore. — Sprawdziliśmy wszystkie zabójstwa, przy których miało miejsce okaleczenie ofiary, nocne włamanie i użycie do krępowania taśmy klejącej. Żadne nie pasowało do sprawy Diany Sterling.

— A seria zabójstw w stanie Georgia? Trzy lata temu, cztery ofiary. Jedna w Atlancie, trzy w Savannah. Wszystkie figurują w PPNP.

— Przeglądałem te sprawy. Tych zbrodni nie popełnił nasz sprawca.

— Posłuchaj, Moore. Dora Ciccone, dwadzieścia dwa lata, studentka z Emory. Została odurzona rohypnolem i przywiązana do łóżka nylonową linką...

— Nasz sprawca używa chloroformu i taśmy klejącej.

— Zabójca rozciął jej brzuch i wyjął macicę, a potem poderżnął gardło. A na koniec — zwróć na to uwagę — złożył jej nocną koszulę i zostawił ją na krześle obok łóżka. Mówię ci, że to cholernie podobny przypadek.

— Te sprawy zostały zamknięte dwa lata temu — stwierdził Moore. — Zabójca nie żyje.

— A jeśli policja z Savannah coś sknociła? Jeśli się pomylili?

— Mieli DNA sprawcy. Włókna, włosy... I świadka. Kobieta, która przeżyła.

— No tak. Był świadek. Ofiara numer pięć. — Głos Rizzoli brzmiał dziwnie ironicznie.

- Rozpoznała sprawcę — zauważył Moore.
- I przy sposobności go zastrzeliła.
- Więc chcesz aresztować jego ducha?
- Rozmawiałaś kiedyś z tą niedoszłą ofiarą? — spytała

Rizzoli.

- Nie.
- Dlaczego?
- A niby w jakim celu?
- Mógłbyś się dowiedzieć czegoś interesującego. Na przykład, że wyjechała z Savannah wkrótce po napadzie. Wiesz, gdzie teraz mieszka?

Poprzez szum w telefonie komórkowym Moore słyszał pulsowanie swego tętna.

- W Bostonie? — zapytał cicho.
- I nie zgadłbyś, czym się zajmuje.